

Stanisław Balbus

Marta



Marta Wyka, lata 90. Fotografia Archiwum

Książkę *Pokolenia literackie* profesora Wyki dostałem od Marty (która je *notabene* z papierów pośmiertnych wydała), z dedykacją: „Staszkowi, przyjacielowi mojego taty i mam nadzieję, że mojemu też”. Do dziś odczytuję tę dedykację z wielką radością, bo dla wielu z nas, jej nieco młodszych kolegów, Marta – jako córka profesora Wyki – była częścią legendy. Kazimierz Wyka bardzo Martę kochał, niesłuchanie, nieba by jej przychylił, a jednocześnie był dla niej bardzo surowy – jako mistrz, prywatny, domowy mistrz. Marta była dla mnie najpierw córką profesora Wyki, a potem okazało się, że jest również moją przyjaciółką i hurtem zostałem mianowany przez nią przyjacielem taty.

Córka

Marta przejęła trochę cech profesora Wyki – na przykład ciepło połączone z dystansem. Przy czym u profesora to był taki dystans z przymrużeniem oka – jesteśmy kumplami, ale ja jestem jednak twoim profesorem. A u Marty ten dystans przejawia się raczej w wycofywaniu się, nienarzucaniu swojego zdania, nawet w tematach, w których była naprawdę wybitną specjalistką. Kiedy podejmuje się z nią na taki temat rozmowę, ona stara się nie wygłaszać zdań nieodwołalnych, autorytatywnych, dających do zrozumienia, że ona wie wszystko i najlepiej.

Marta bardzo ojca kochała i nadal go kocha. Jest bardzo czuła wobec jego spuścizny – jest świetną redaktorką, edytorką jego pism, dba o to, żeby one wychodziły, żeby były czytane. Marta poszła poniekąd drogą przetartą przez wybitnego ojca, ale dla niej to wcale nie była prosta, a już w żadnym razie ułatwiona droga; przeciwnie – był to wielki kłopot, ciężar nawet. Tak to bywa ze sławnymi rodzicami, że związek z nimi jest swojego rodzaju handicapem. Sam miewałem uczniów-wybitnych artystów czy uczonych i wiem dobrze, jaki to dziedzictwo stanowiło dla nich ciężar. A na domiar wszystkiego Marta zajmowała się literaturą współczesną, w dziedzinie której jej ojciec był najwybitniejszym autorytetem, i zresztą jest nim do dziś. Wiem tyle, że on czytał wszystko, co pisała Marta, ale nigdy z nim o twórczości Marty nie rozmawiałem, nie zetknąłem się ani bezpośrednio, ani w sposób pośredni z tym, aby ją jakoś lansował. Z rozmów z nią samą mogłem wnosić, że był dla niej krytykiem surowym. Marta skończyła studia chyba za-

nim ja przyszedłem na polonistykę. Była bardzo wybitną polonistką, a nie została zatrudniona na Uniwersytecie Jagiellońskim, tylko w Wyższej Szkole Pedagogicznej, później studia doktoranckie odbywała w Instytucie Badań Literackich. Profesor Wyka chyba właśnie nie chciał stwarzać sytuacji ulgowej, tzn. być poniekąd szefem uniwersyteckim córki. W samej Marcie budziło to ambiwalentne odczucia. Było w nich pewnie trochę żalu, a trochę dumy, poczucia niezależności.

Na Uniwersytecie Jagiellońskim Marta zaczęła pracować tuż przed zrobieniem habilitacji, dopiero wtedy zaczął nas łączyć także uniwersytet. Zresztą te środowiska – towarzyskie i zawodowe – w dużej mierze się na siebie nakładały, przede wszystkim może dzięki Związkowi Literatów.

Krytyczka literacka

Jakiego rodzaju był Wyka dla córki autorytetem, tego mogłem się tylko domyślać, wnioskować z różnych rzucanych mimochodem uwag. Na pewno był takim autorytetem, który nie krępował, nie zmuszał do czegoś, tylko pozostawił jej pełną swobodę wyboru, pokazując jej różne możliwości. Oczywiście, ten wybór był w jej wypadku szczególnie bogaty. Marta takich możliwości widziała więcej niż ja, który wychowywałem się do 18 roku życia w małym miasteczku w środkowej Polsce. Było jej łatwiej w jakimś sensie. Ale za to „łatwiej” zapłaciła cenę, którą nie wiem, czy byłbym w stanie zapłacić na jej miejscu. To wymagało wielkiej siły charakteru – żeby być obok Kazimierza Wyki – Martą Wyką, uczoną o identycznym nazwisku i zarazem wysoce odrębną indywidualnością. Pewnie prościej było-

by jej przestawić się zawodowo; być kimś zupełnie innym. Jej siostra Małgosia po prostu została plastyczką, malarką. Była także zawsze dumna z tego, że jest córką Kazimierza Wyki, ale robiła coś zupełnie innego, co mogło nawet imponować tacie. U Marty jednak wybór literaturoznawstwa był zdeterminowany: po prostu odziedziczyła po ojcu miłość do literatury, to był niemal imperatyw kategoryczny. Ale trzeba było mieć naprawdę dużo siły i charakteru, żeby zamieszkać w tej samej budowli humanistycznej, w której mieszkał wielki Profesor Wyka. A Marta przecież ostatecznie tu zamieszkała, jako indywidualność odrębna. I dzisiaj wśród studentów polonistyki jest bez wątpienia mistrzynią, jak dla mojego pokolenia był jej ojciec. W latach 90. otworzyła też prekursorską wówczas w polskim polonistycznym szkolnictwie wyższym Katedrę Krytyki Współczesnej. I już choćby sam fakt, że tak uporczywie i skutecznie o tę katedrę zabiegała, ujawnia ważny składnik jej poglądów na literaturę i literaturoznawstwo, ten mianowicie, że krytyka literacka jest osobną, pełnoprawną dziedziną i pisarstwa, i literaturoznawstwa. To w czasach profesury jej ojca nie miało odbicia w uniwersyteckiej polonistyce, choć on sam był bardzo wybitnym krytykiem literackim. Marta w obieg uniwersytecki wprowadziła tezę – samym faktem utworzenia tej katedry i zaistnienia całej szkoły badawczej, którą tam zbudowała – że krytyka literacka jest równorzędnym działem pisarstwa, którym można i należy zajmować się tak jak innymi gatunkami literackimi, a równocześnie stanowi i część literaturoznawstwa, mającą swoje metody tak jak historia czy teoria

literatury. W ciągu zaledwie kilkunastu lat stworzyła tutaj krytycznoliteracki zespół badawczy – w tej katedrze powstają prace doktorskie, habilitacyjne, narodziło się tam nawet kilku profesorów. To jest uniwersyteckie dzieło Marty. Dzieło, którego nie przejęła po swoim ojcu, ona to stworzyła; na pewno tata byłby z tego bardzo zadowolony i na pewno gdzieś tam zaciera ręce, mówiąc: „Martusia pokazała, co potrafi”.

Już od połowy lat 60. Marta Wyka należała do najwybitniejszych krytyków literackich w Polsce. I chyba to nas najpierw połączyło – redakcje pism literackich. Nie pamiętam już dokładnie, jak się poznaliśmy, ale nie nastąpiło to na gruncie ani uniwersyteckim, ani w Instytucie Badań Literackich, gdzie bywałem często gościem (choć w zupełnie innej pracowni niż jej rodzima), tylko na gruncie Związku Literatów Polskich. Obydwoje zostaliśmy przyjęci do ZLP tego samego dnia, w 1975 roku. Tego wieczoru w Domu Literatów na Krupniczej wystąpiliśmy we dwójkę, choć zwykle takie spotkania robi się w pojedynkę. Zrobiliśmy taką dziwną rzecz, że Marta napisała wiersze kilkunastu polskich poetów współczesnych (niektórzy z nich – jak Tadeusz Nowak czy Jerzy Harasymowicz – siedzieli nawet wtedy na sali). To były oczywiście pastisze, stylizacje, ale tak finezyjnie i precyzyjnie podrobione, że śmiało mogłyby uchodzić za oryginały. Marta potrafiła napisać zarówno „barokowy” wiersz Jarosława Marka Rymkiewicza, czy też – barokowy, lecz o zupełnie innej stylistyce – Harasymowicza, jak i o niesłychanie skomplikowanej fakturze „psalm” Tadeusza Nowaka, finezyjną w swej prostocie miniaturę

Szymborskiej. Niektórzy obecni na sali autorzy się zaśmiewali, a Harasymowicz nawet się obraził i wyszedł. Z kolei ja do każdego z tych wierszy dodawałem interpretację, parodiując rozmaitych polskich krytyków literackich.

To była kooperacja w ramach literackiej zabawy towarzyskiej. Kooperowaliśmy jednak i w sprawach nader poważnych. Współpracowałem na przykład z Martą, czym się chlubię, w pierwszych czynnościach zmierzających do ustanowienia Nagrody im. Kazimierza Wyki. Potem – od momentu, gdy sam ją dostałem (w 1992 roku) – wszedłem w skład jury, gdzie byłem dość długo, chyba do 2005 roku.

Nie było między nami żadnej literackiej rywalizacji. Byłem bardzo rad, kiedy dowiadywałem się, że Marta napisała recenzję na temat tej samej książki, co ja – to była dla mnie okazja do komparacji, zawsze byłem ciekaw, jak ona to zrobiła! Zawsze uważałem, że ona ma dużo większe doświadczenie. Nas połączyła miłość do poezji, miłość do literatury. W tych czasach środowisko literackie Krakowa było dość zwarte, mimo że bardzo zróżnicowane – od kręgów „Życia Literackiego” do kręgów „Tygodnika Powszechnego”. Nasza bliższa znajomość zadzierzgnęła się, gdy Marta zrezygnowała już z posady adiunkta na WSP, pozostając zatrudniona już tylko w Instytucie Badań Literackich, w pracowni literatury młodopolskiej i dwudziestolecia międzywojennego, którą rządziła Maria Podraza-Kwiatkowska. Ja się przyjaźniłem się już wtedy z Jerzym Kwiatkowskim, więc siłą rzeczy i z jego żoną, Marią Podrazą, ich dziećmi – Krzysiem i Anią, która potem

stała się moją koleżanką w Katedrze Teorii Literatury. Właśnie i u Kwiatkowskich, na Krupniczej, i u innych aktualnych czy byłych krupniczan, choćby u Tadeusza i Zosi Nowaków, często spotykałem się z Martą, a najczęściej w mieszczącej się tam stołówce, gdzie obiady przedłużały się niekiedy do wieczora.

Marta Wyka zadebiutowała jako krytyk literacki artykułem opublikowanym na łamach „Współczesności” (1961, nr 6) zatytułowanym *Kurz na poezji* – pokazała w nim, jak nowoczesność wychodzi z odkurzania rzeczy, które uległy już zapomnieniu. To był rasowy artykuł krytycznoliteracki, który mógłby się spokojnie znaleźć w książce Wyki *Rzecz wyobraźni* – tylko że to był artykuł Marty, a nie Kazimierza, ona to zrobiła absolutnie po swojemu. Jej książka, która stała się podstawą doktoratu, poświęcona była Gałczyńskiemu, który był wtedy poetą odkrywany na nowo, po strasznych czasach stalinowskich – traktowano go jako błyskotliwego wesółka, trochę szarlatana, zresztą sam na takiego się stylizował. Marta pokazała natomiast, jak mocno ten poeta jest osadzony w wielkiej tradycji literatury polskiej, jak ją przetwarza i jak na tle tego dziedzictwa staje się niepowtarzalny. To była jej absolutnie samodzielna droga.

Marta jest czynnym członkiem międzynarodowego stowarzyszenia krytyków literackich z siedzibą we Francji, znana więc również zagranicą.

Historyczka literatury współczesnej

W czasach, kiedy Marta Wyka zaczynała swoją karierę naukową, nie było w humanistyce tylu kobiet. Na polonistycie były

tylko dwie panie profesor – Maria Dłuska i Ewa Ostrowska, Marta wszystko robiła z wielką dyskrecją, nie powołując się biograficznie na to, na co wiele osób w jej sytuacji by się powoływało – zamiast zostać od razu asystentką Uniwersytetu Jagiellońskiego, została najpierw skromną asystentką Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Ranga tej szkoły była wówczas o wiele mniejsza niż dzisiejszego Uniwersytetu Pedagogicznego. Tam sobie znalazła miejsce – pisywała mądre, piękne i niezależne recenzje krytycznoliterackie oraz rozprawy.

Wielu, zwłaszcza w jej pokoleniu, zajmowało się Brzozowskim. Głównie jednak jako myślicielem, filozofem Młodej Polski, natomiast Marta zajęła się tym, co pozostawało zrazu nieco na uboczu – jego twórczością literacką, artystyczną. Przeczytała (czyli zbadała) bardzo po swojemu jego dwie powieści, pomijane w refleksji literaturoznawczej, dostrzegając ukryty w nich światopogląd, to, co pod spodem, w głębi artystycznej konstrukcji epickiej. Efekty tych badań w dużej mierze korygowały to, co w tym czasie wiedzano o Brzozowskim. Wtedy już się blisko przyjaźniłiśmy, kiedy Marta pracowała nad swoją rozprawą habilitacyjną, właśnie o powieściach Brzozowskiego (ukazała się książkowo w 1981 roku). Widziałem więc z bliska, z wielu rozmów, jak ona to głęboko czyta. Potrafiła z powieści, jej formy, wyczytać światopogląd. To wtedy było bardzo nowatorskie, a nawet bardzo modne w teorii literatury podejście. Ale Marty nie interesowała teoretyczna moda, nie wdawała się też w osobne teoretycznoliterackie dywagacje. Uważnie wnikała w tekst artystyczny, stamtąd wyprowadzała uogólnienia.

Pokazała, jak Brzozowski w powieściach dopowiedział to, czego nie wyraził wprost w swoich tekstach dyskursywnych i co na dobrą sprawę językowi filozoficznego dyskursu umykało.

Piękno wewnętrzne

Muszę zresztą powiedzieć, że Marcie zażdrościłem zawsze (to była czysto przyjacielska zazdrość!), że brała wiersz, tom wierszy, powieść, tom opowiadań i od razu, z miejsca docierała do sedna, umiała znaleźć prostą formułę, która obejmowała całość i która sięgała pod powierzchnię. Podczas gdy ja musiałem rozgrzebywać łupinę konstrukcji, żeby dostać się do jądra, gmatwając po drodze sens tego, co tam dostrzegłem. To nie znaczy, że Marta pomijała wszystkie imponderabilia formy artystycznej – po prostu umiała od razu trafić w sedno. Druga, związana z tym cechą Marty, też przedmiot mojego podziwu, wiąże się z wypowiedziami publicznymi. Na konferencjach i innych wystąpieniach Marta wstaje i mówi w sposób celny, zwięzły, niesłychanie klarowny i przejrzysty to, o co chodzi. Ukazuje sedno – bez przerywników, wahań i zawiesznień głosu, powtórzeń, zbędnych dygresji. W gruncie rzeczy można by to nagrać, spisać i byłby gotowy tekst do druku. Ja nad takim tekstem literackim musiałbym pracować godzinami, a jej się to jakoś po prostu wypowiada. Trafia od razu *to the heart of the matter*. Takie są też jej teksty pisane – krótkie recenzje i długie rozprawy.

Trudno pominąć to, że Marta nas wszystkich, kolegów z uniwersytetu, fascynowała w jakiś sposób. Ona była i jest, bo zachowała te walory do tej pory, niezwykle piękną dziewczyną, niezwykle

piękną kobietą, o urodzie do pewnego stopnia egzotycznej. Dzisiaj jako dama na emeryturze zachowała niezwykle wewnętrzne piękno, które się odmalowuje w jej twarzy, jej mimice, gestach, sposobie mówienia. To zawsze było moim dodatkowym przedmiotem fascynacji – piękna Marta, piękna i trochę niedostępna. Ten dystans oczywiście z czasem się zmniejszył, pozostał jednak zawsze jakiś szczególny odcień szacunku, podziwu, nawet w relacjach nader familiarnych, „kumpelskich”.

*

Przyjaciele są swego rodzaju potrzebą życiową. Moja przyjaźń z Martą Wyką dyktowana była świadomością, że ktoś taki jak ona w pobliżu istnieje i jest mi w życiu potrzebny, nieraz niezbędny. Miało to różne fazy, „kumpelskiej” nie wyłączając; teraz to taka jesienna przyjaźń – spokojna, słoneczna, niezobowiązująca do niczego, trochę już z daleka. Jak to Wisława Szymborska w jednym ze swoich wierszy napisała: „Wiele zawdzięczam/ tym, których nie kocham” (*Podziękowanie*). Czyli przyjaciółom, którzy są po prostu w pobliżu i są bezinteresowni wtedy, gdy są potrzebni.

Więcej na ten temat nie powiem. Tyle wystarczy. Kiedy myślę o Marcie w moim życiu, przychodzi mi często na myśl takie późne powiedzenie Staffa: „Nie zmarowane będzie życie moje,/ Bom tworzył pieśni i miałem przyjaciół”. Pieśni wprawdzie oboje nie tworzyliśmy, ale nasze pisarstwo też miało jakiś w tej przyjaźni udział. Tak jak również uniwersytet i w nim nasi uczniowie.

Stanisław Balbus

Tekst w pierwotnej wersji był częścią nagrania filmowego, które zostało zarejestrowane w ramach projektu Pamięć Uniwersytetu.



Na zdjęciu: Marta Wyka, Władysław Stróżewski, Włodzimierz Maciąg oraz Stanisław Balbus.

Fotografia Archiwum

Profesor Marta Wyka podczas jubileuszu Uniwersytetu Jagiellońskiego w roku 2000.

Fotografia Archiwum

